Nr. 16. Lwów, 15 sierpnia 1900. Rok XXIII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

JAN GRZEGORZEWSKI.

Na łowach w Transwaalu i Kalaharze.

(Ciąg dalszy).

Raz przed południem, wychodząc z gąszczy mimozowych, prowadzimy za sobą konie, aby dosiąść ich na otwartej równinie. Mój Leng (tak przez skrócenie nazwałem basuta, dodając mu niekiedy przymiotnik „kochany", utworzony przezemnie z pierwszej części jego imienia — Nkache) kładąc ostrożnie palec na ustach, wskazuje mi zdala igrające w trawie stadko ośmiu sztuk antylop z rodzaju zwanego u Niemców Steinbock, a właściwie Bleichbock (*Scopophorus scoparius*), odmiany w Transwaalu noszącej niekiedy miano Blesbock (*Scopophorus scoparius*). Cofnąwszy się szybko w głąb zarośli uwiązujemy tam konie, a wróciwszy na skraj, składam się do strzału. Ale Leng wstrzymuje mnie ręką i wskazuje milcząco na dwa krzaki obok siebie sterczące, w takiej samej od nas co stado odległości, jak się zdawało 500 kroków, ale pod innym kątem widzenia: krzaki na prawo, stado na lewo od nas, przestrzeń zaś ich dzieląca wynosiła połowę naszej od nich odległości. Że mogły one stanowić doskonałe dla nas zakrycie i zmniejszały tak bardzo dystans, zataczamy tedy od lasku dalekie na prawo koło i zbliżamy się pochyleni lub raczkując ku krzom. Już jesteśmy przy nich. Przezieramy po przez osty i gałązki, Leng jakby

w rozczarowaniu jakiś grymas wykrzywia twarzą i rozgląda się do koła, a ja lubuję się widokiem stada, jak na dłoni. Leng trzymając flintę pod pachą ani myśli o składaniu się i czeka, myślę, aż się bardziej przysuną kozy ku nam. To zbyteczne, bo dystans najdogodniejszy, a może się jeszcze oddalić, zresztą capy już się dość nabawiły przyklękam, opieram wygodnie lufę na grubym pniu krzowym, biorę na cel same piersi zwróconego ku mnie i już całkiem spokojnie stojącego capa — paf, paf, i dźwigam się w górę pewny swego podwójnego łupu.

Na odgłos strzałów zerwało się całe stadko i nuże w lansady a podskoki. Satysfakcya była patrzyć, jak każde z nich dawało szczupaka wysoko w górę po nad trawą, ciagłemi zygzakami to na prawo to na lewo, migocąc jak kszyki nasze w powietrzu i wreszcie znikało jakby zapadało się pod ziemię. Oczywiście — nie popuściłem płazem takiej swawoli i naigrawania się z mojej władzy strzeleckiej i pochwyciwszy nabitą flintę od Lenga, posłałem jeszcze dwa strzały za nimi.

Biegniemy na miejsce strzału po zdobycz, już jestem na 250 kroków: ani śladu — ni antylopy, ni farby. No, myślę sobie, omyliłem się o kilkanaście kroków. Ba! ale już ubiegłem trzysta z górą, a tu jak nic tak nic, mimo starannego przeszukiwania. Tymczasem Leng wcale nie zatrzymując się przy mnie, pędzi o jakie tysiąc kroków dalej i tam dopiero rozpoczyna badanie.

— Czyś oszalał, czy co? — wołam do niego z niechęcią: — Przecież tak daleko stado nie stało, a od miejsca gdzie strzały padły, ruszyły nieco na prawo.

— Stąd właśnie, baas, zwróciły się na prawo — zapewnia z największą siłą przekonania. A gdy palcem powiodłem po głowie, jakby dając do poznania, że się mu w niej musiało coś pomącić, przyskakuje do flinty mojej, rzuca wzrokiem na wizyr i wybucha śmiechem homerycznym, przysiadając ku ziemi i biorąc się w boki.

A niechże cię paraliż ciężki naruszy z twojem powietrzem! apostrofuję sam siebie, bijąc się w czoło i przypominając własne przeoczenie tych właściwości atmosfery afrykańskiej, dzięki którym wszelkie dalsze przedmioty wydają się bliskimi. Zwierzyna istotnie była o przeszło tysiąc kroków, a ja celowałem na 250.

Takie same omyłki popełnia angielska armia, walcząca z burami. Łańcuch ich tyraljerski rozciągnięty na 3 lub 4 tysiące kroków od nieprzyjaciela, a żołnierze celują na 500 kroków. Oczywiście wszystkie strzały chybione, gdy burskie w ręku ludzi obytych od dzieciństwa ze swojem powietrzem — wszystkie pewne, zwłaszcza przy wielkiej ich wprawie strzeleckiej. Ztąd bardzo naturalne wiadomości biuletynów z placu boju: na 100 anglików zabitych lub rannych — jeden bywa tylko bur powalony lub draśnięty — przypadkową fuszerką, gdy 99 strzałów choć mogły być najlepsze — spudłowały.

I to jest jedna z najpoważniejszych i najistotniejszych przyczyn niepowodzenia i ciągłych porażek anglików tak w tej, 1900 roku, jak i w poprzedniej przed 20 laty toczonej wojnie (i stąd też niesłuszność relacyi dziennikarskich o mylności i oszukańczej jakoby ze strony dostawców konstrukcyi karabinów angielskich, z czego znów szerokie wnioski o korupcyi angielskiej i t. d.). Tu nic nie pomoże — ani waleczność i wytrzymałość żołnierza, ani zmyślność i wprawa oficerów, ani genialny plan sztabu jeneralnego, skoro nietylko rekrut świeżo zwerbowany — jak to się często zdarza w Anglii, — ale nawet wytrawny żołnierz będzie przeznaczony wprost z atmosfery innej na afrykańską bez obycia się i dłuższego nią przesiąknięcia. Tu nie dość teoretycznego przeświadczenia o właściwościach owej atmosfery, ale potrzeba dłuższego a ciągłego z nią obycia się, aby weszła w pory i krew ciała i właściwe dawała wrażenia dla siatki ocznej. Ja przecie miałem owo przeświadczenie i dość nawet obyty byłem z tą atmosferą, ale że obycie się ulegało miesiącami i latami przerwom, często doznawałem niespodzianek: sama teorya zapomina się, gdy się nie ma szczególnego interesu w jej utrzymaniu, lub gdy zapanuje nad nią natłok innych wrażeń i pragnień.

Nie dalej jak tegoż samego dnia ponowiła się podobna historya, jeno w kierunku odwrotnym.

Po dobrych sześciu czy siedmiu godzinach natrafiamy na olbrzymie stado antylop, owych skoczków, springbocków, wymienionych wyżej, (*antilope euchore*), niedorównywujące liczbą owym tysiącznym z pogranicza kalahorskiego, ale przecież najliczniejsze, jakie spotykałem w tych okolicach, bo wynoszące przeszło 500 sztuk. Łatwo tu było przyjść do strzału, ale nie pozwoliłem na razie ani sobie ani Lengowi ruszyć strzelbą, lecz ukrywszy się za krzakiem, obserwowałem z ciekawością tę tłuszczę, która ciągnąc ku południowi za wodą, jak szarańcza tępiła wszystko po drodze, wypasając trawę, obgryzając gałązki krzewów. Z początku, w wąskiej szyjce pastwiska szła w zwartej kolumnie, a raczej jedną wielką ścieśnioną ławą; ale wyszedłszy na rozwartą równinę, rozsypała się na wsze strony, harcując ku wielkiej własnej uciesze. Co chwila ten lub ów dawał olbrzymi skok w powietrze na wysokość 3—4 metrów, aby przebiegłszy parę kroków dalej, powtórzyć to samo. A że się to odbywało naraz na wielu punktach paru morgowej zajętej przez nich przestrzeni, wyglądała ona jakby jakaś ruchoma szara, przesuwająca się wciąż naprzód łąka, z przecinającemi nad nią powietrze olbrzymiemi świerszczami lub konikami polnemi w łukach również olbrzymich, bez liku. Tak trwało może z kwandrans, aż całe stado przemknęło mimo nas, pozostała tylko straż tylna, złożona z 8—9 sztuk, spokojniej i rozważniej podążająca za głównym korpusem, niekiedy go truchtem doganiając. Kiedy weszła na linię lewego flanku naszego na odległość trzysta kroków:

— Czwarte od końca — wołam do Lenga, aby śledził za kierunkiem strzału, i prawie jednocześnie daję ognia w sam środek stadka, celując w tułów sztukę, która jakby umyślnie ustawiła się do celu, zatrzymując się na okamgnienie, może gotując się do skoku.

— *Is doed* — odpowiada po bursku z chichotem Leng, zrywając się do biegu.

Znów spudłowałem i kozioł jeno obejrzał się i dał skok w powietrze. Zapomniałem dodać, że przed samem nadejściem stada — ustawiliśmy byli dla ćwiczenia w strzale dwie obok siebie tarcze papierowe w krzaku na tej samej linji flanku lewego, przez którą przechodziła ariergarda, ale znacznie dalej od niej, na przeszło półtorasta kroków, czyli od naszego strzału na 480 kroków. Tam też później znaleźliśmy przedziurawiony od kuli papier. Tym więc razem przeceniłem odległość zwierzyny od mego stanowiska — o 180 kroków.

Nim to wszakże skontrolowaliśmy, widzimy po strzale jak całe stado spłoszone pierzcha w dali z pospiechem, a w tylnej jego straży następuje gwałtowna ewolucya zwrotów, połączona z żywiołowem pomykaniem naprzód

i salto mortale 8-iu do 9-ciu sztuk naraz, które jak ryby ponad tonią zwierciadlaną wody wynurzały się z fal trawy i zataczały błyskawiczne łuki w powietrzu.

Naraz w jeden z takich łuków pada niespodzianie strzał od zarośli nieco z boku po nad linią tegoż samego flanku naszego. Patrzymy: jeździec barczysty w kapeluszu burskim siedząc na koniu, dymiącą jeszcze strzelbę zniża ku siodłu i nie troszcząc się o zwierzynę, powoli ciągnie w stronę naszą. Wychodzimy na spotkanie, zbliżamy się — to Gert, towarzysz nasz z poprzednich łowów nad Limpopo.

— Good dag, oom — mówi przeciągle, obcierając gębę po fajce pięścią trzymającą strzelbę.

— Jak się masz, siostrzeńcze? Dużoś już dziś wujów spotkał po drodze takich jak ja?

— A, mynher — poprawił się w tytułowaniu, przypominając sobie dawniejsze moje z nim przekomarzanie się o zainprowizowane pokrewieństwo: — takich niema tu, tyś jeden i dlatego na wieczerzę zastrzeliłem ci blesboka.

— Czy nie zawczesna przechwałka na jeden strzał.

— Szkoda, mynher, naboju na drugi, a jak Bóg da, to i jeden wystarczy.

Zlazł z konia, odrzucił cugle kafrowi. Poszliśmy. W odległości może 700 kroków zatrzymał się, pochylił i z gąszczy trawy podnosi w górę za tylne nogi kozła tłustego: w locie dostał kulkę pod samą łopatkę.

— A gdzież Vanp Moot z Pietem? Czy i oni tu także nadciągają? — pytam o dwóch innych towarzyszy z nad Limpopo.

— Ściągają się tu wszyscy na zimę, spotkamy ich na drodze. — I wyjmuje talarek biltonga (suche mięso) z torebki do przegryzki, aby mu lepiej smakowała nowa fajka.

Jakoż nad wieczorem spotkaliśmy i tamtych i razem zanocowaliśmy przy ich wozach.

Nazajutrz powiada mi Leng, że w nocy żerowały niedaleko olbrzymie, wielkości jelenia kudu, jedne z najpiękniejszych antylop. Miałem ogromną chętkę na ich wspaniałe długie śrubowate rogi. Ale nie wierzyłem tej wieści, bo za moich czasów nie było o nich słychać w tych stronach. Zresztą była to niedziela, a wtedy bur za żadne skarby świata nie pójdzie na łowy, polującego zaś w ten dzień cudzoziemca uważa nietylko za bezbożnika, ale i za człowieka źle wychowanego. Wstrzymałem się i ja od polowania. Natomiast wysłuchałem ich nabożeństwa gromadnie odprawianego.

Majętniejsi z burów miewają oddzielne domy letnie na hochfeldzie, a osobne zimowe na buszfeldzie; pierwsze kamienne, przestronniejsze, drugie — szczuplejsze, będące raczej rodzajem szałasów lub kolib góralskich, niż domami mieszkalnemi w całem znaczeniu tego wyrazu. Dla większości wszakże i dom, jak dla prawdziwych koczowników, zastępowały namioty i te klasyczne wozy afrykańskie, którym równych lub podobnych nie ma na świecie.

* * *

II.

(Przez kraj Bastardów w pustynię Kalaharską).

Karawana nasza z Torellim*) posuwała się na zachód od łożyska rzeki Oub, skąd powolnemi marszami ciągnęliśmy ku krainie Bastardów, aby stamtąd przejść do Kalahary.

Zaledwo opuściliśmy tamy anoerugaskie, step piaszczysty szerzył się coraz dalej i utrudniał posuwanie się naprzód. Gdzieniegdzie w niższych zagłębinach widniały kępy zielonawe, a z nich wychylały się ogórki dzikie; ale droga tak kopna, że nasi poganiacze buszmańscy co chwila klaskali biczami sążnistemi i gardłowym krzykiem a nawoływaniem dodawali podniety czworonogim. Żałowaliśmy, żeśmy nie postąpili tak, jak napotkana niebawem karawana Bastardów. Jechały dwie rodziny z dziećmi dwoma wozami, z których każdy zaprzężony był w sześć krów z biegnącemi obok cielętami. Gdy krowy ustawały i nie chciały ciągnąć, poganiacze pędzili cielęta naprzód o pół kilometra, za czem krowy, aby z oczu niestracić swego przychowku, ruszały z miejsca i pędziły co sił starczyło. Mimo to — po godzinie drogi musiano stanąć na odpoczynek. My, podążając za nimi, uczyniliśmy to samo.

Ledwie ognisko rozłożono i dym wzbił się w górę, aż przynęcona snać jego widokiem, nadbiegła banda kilkunastu obojej płci Hotentotów z pobliskiego koczowiska, choć powiadali, że ich „kraal“ niedaleko i że są osiadłymi. Mężczyzni byli uzbrojeni w łuki, a dwaj przy flintach. Kobiety pulchne, tłuste — miały tyle w dolnej części kości pacierzowej „steatopygy“, że u każdej z nich mały 2—3 letni berbeć stał najwygodniej, z lekka tylko obejmując szyję matczyną rączkami. Postacie nagie, z przodu jeno u lędźwi okryte kawałkiem jaskrawej, zbrudzonej tkaniny lub sierści. Żółtobrunatna skóra ciała połyskiwała zdala i pod blaskiem słońca odbijała barwą miedziana: parę osobników dawała złudzenie staro-egipskiej karnacyi. Ręce i nogi tak drobne, że miałyby im czego pozazdrościć elegantki europejskie. Ledwie nadbiegli, wnet do nas z żądaniem:

— Baas, daj szczyptę tytoniu!

Daliśmy, a że mieli tylko dwie fajki na całą bandę, krążyły one z ust do ust, aż się do szczętu rychło wypaliły, i znów:

— Baas, daj tytoniu!

Gdy jedni posiadali dokoła ogniska, kurząc z pożądliwością, drudzy zaglądają ciekawie do naszych i bastardzkich wozów, dopytując — czy nie ma piwa lub miodu.

— Miodu dałbym wam, trutnie, ale innego, — zawołał cierpiący trocha na febrę i przeto zgryźliwy Torelli: — przecież sami możecie na poczekaniu przyrządzić piwo i miód.

Mowa ta o pewnej roślinie pastewnej, osadzającej na liściach swych czy wydzielającej z siebie krople, które tak Buszmani jak korańscy Hotentoci zbierają i poddają fermentacyi.

---

*) Uczestnikiem wycieczki naukowej autora do jeziora Ngami.

Jeden z Hotentotów machnął pogardliwie ręką, a poznawszy chorobę Torellego, powiada:

— Baas, daj przynajmniej wódki, to cię za to wyleczę.

Buszman nasz szepce do mnie:

— Choć to złodziej, ale jest lekarzem, znam się na tem i niech sieur go posłucha: wyleczy.

Wiedzieliśmy, iż posiadają takie środki, choć Torelli nie bardzo im dowierzał.

— Sprobuj, signor, jeśli nie pomoże, to nie zaszkodzi — powiadam mu, widząc, jak bronzowy doktor wyjmuje z kołczana zawinięte w liść trzy ziarnka żywicy, z zapewnieniem:

— Już po jednem baas będzie zdrów, jak słońce tam się zniży — rzekł, wskazując na 2—3 godzinną przestrzeń firmamentu; ale baas weźmie i dwie jeszcze, a baas da leczącemu go koi-koinowi (t. j. Hotentotowi) cape smoke (wódki).

— Czekaj, poltrone, dam ci cape smoke, że długo ją popamiętasz!

Mówiąc to, podszedł do wozu, wyciągnął ze swej walizy podróżnej flaszeczkę wody kolońskiej i wręczył ją Hotentotowi. Ten podniósł, odkorkował, powąchał, spróbował haust, i zaczął skakać z zadowolenia, a dawszy ją do powąchania towarzyszom, wychylił duszkiem do dna.

Gdy Torelli przekomarzał się ze znachorem i szukał dlań owego produktu Fariniego w wozie, ja tymczasem pytam innego trzymającego się mnie jak ślepy płotu hotentota, jak oni żyją i dają sobie radę z Burami i Anglikami:

— Szakal umie sobie dać radę — odpowiada z uśmiechem.

— Jak to szakal?

— A no tak powiadają koi-koinowie, że szakal.

Wiedząc, że ma w zanadrzu pewno jakąś przypowieść alegoryczną, lub bajkę, daję mu dla rozwiązania języka garść tytoniu, a w perespektywie ukazuję mu kieliszek koniaku. Zakurzył pipkę: zasmakowała mu, a wzrokiem pożądliwym wodzi po kobiałce z napojami.

— No jakże to tam było z tym szakalem? — pytam kładąc od niechcenia rękę na koszyku:

„Raz co się nie zdarzyło — tak zaczął przywowieść: — Szakal wpadł w ręce „białych ludzi" za to, że coś sobie zwęszył u nich. Pojmano go i związano, aby zabić. Ale przedtem zapytał Szakal:

— W jaki sposób zwykle zabijają biali ludzie?

Ci odpowiedzieli:

— Powrozami i młotami zabijają.

Szakal na to:

— Zły to i odwrotny sposób zabijania.

I poradził im tak:

— Jeśli macie zabić człowieka, to powinniście go wpierw nakarmić łojem i tłuszczem, zaczem musicie mu i ciało jego wysmarować na zewnątrz tłustością; następnie — rozniećcie ogień na skale, chwyćcie onego za ogoń i rzućcie go na skałę w ogień.

„Biali ludzie" postąpili tak z szakalem.

Że ten jednak (tłuszczem wymaszczony) stał się śliskim, wyśliznął się im z rąk, umknął, a za nim psy w pościgu. Udało mu się wpaść do jamy. „Biali ludzie", którzy też za nim pogonili, poczęli macać rękoma w jamie, schwycili za ogon i wołają:

— Ha, ha, ha! Choci, ti ge mi! (Tu go mam, złapaliśmy go)!

Ale Szakal na to:

— To wam tak się zdaje tylko: nie mnie, a korzeń schwyciliście w ręce.

„Biały człowiek" upierał się przy swojem:

— Mamy cię!

Szakal mówi:

— Że to nie ja, to idź rozłup na dwoje krzemień, wracaj i oderznij co trzymasz teraz w ręku, a przekonasz się, że to korzeń.

„Biały człowiek" poszedł łupać krzemień (do krajania, zamiast noża), a tymczasem Szakal wcisnął się w głąb jamy i żył sobie dalej".

Działanie wody kolońskiej okazało słę po nad spodziewanie rozkoszne dla hotentota Torellowego: począł skakać i tańczyć a tarzać się po ziemi z oznakami najwyższego upojenia. Widząc to towarzysze i towarzyszki jego, otoczyli nas kołem, i poczęli domagać się dla siebie takiego samego napoju i to tak coraz natarczywiej i groźniej, że służba nasza musiała ich odpierać z bronią w ręku. Odparci, odeszli w końcu, pomrukując, ku wozom Bastardów, i usiłowali tam coś wycyganić: po upływie pół godziny oddalili się ku obozowi swemu dwiema partyami — najpierw jedna, a w dziesięć minut po niej druga.

Wyruszyliśmy dalej w drogę. Ale już w kilka chwil potem posłyszeliśmy lament i przekleństwa Bastardów, którzy nie mogli odszukać jednego cielaka swego. Powszechne było mniemanie, żo skradli go Hotentoci, ale w jaki sposób, — pozostało zagadką. Nam też zabrakło jednej torebki z cukrem.

Byliśmy już w dzierżawach Bastardów i na noc dowlekliśmy się na folwark niemiecki Rautenbacha, będący istną oazą kulturalną wśród tej dziczy. Pod nieobecność właściciela podejmował nas godnie rządca jego cielęciem zabitem na cześć naszą, paru flaszkami miodu, wódką i tytoniem własnej plantacyi, nieskąpiąc w dodatku utyskiwań na lenistwo i nieporadność Bastardów. Mimo to wydali się nam oni jednym z najciekawszych i najpożądańszych objawów w dziejach kolonizacyi i postępu w ogóle, a w Afryce w szczególności. Niedawno zmarły wódz naczelny Burów — gen. Joubert w liście otwartym do królowej Wiktoryi powiada o niewolnikach, których Burom przedawali Anglicy na swoich okrętach, przywożąc ich z innych części Afryki, ale nic nie wspomina o innych — pochodzenia miejscowego, których sami sobie fabrykowali Burowie dwojaką drogą: 1) z krajowców tak hotentockich jak kafrskich, płci obojej bądź pojmanych na wojnie i wziętych w niewolę, bądź kupionych z dzieciństwa i w ogóle zniewolonych do służebnictwa; 2) z Mulatów i Mulatek, urodzonych z ojców burskich a matek brunatnych krajowców, często ze szczepu Buszmanów. Jedni i drudzy zwani byli czeladzią, młodzieżą, bay, a drudzy wyłącznie bastardami (bękartami, mieszańcami). I ci to właśnie najpierw sporadycznie, a później gromadnie uciekać poczęli od swych chłopskich panów w głąb stepów aż w pustynię Kalaharską, szukając schronienia i opieki u tamtejszych brunatnych krajowców. Posiadając od tych ostatnich więcej kultury europejskiej, uspołecznienia i broni, jedni z nich naturalną przewagą tych właściwości rychło zdobywali mienie i władzę, a drudzy podstępem i zdradą wyzuwali swych opiekunów z obojga.

Do takich należał Jan Afrikander, który, włócząc się z zastępem swoim czas długi na zachód od pustyni kalaharskiej i 20 południka, docierał pod zwrotnikiem Koziorożca aż za 18° południk, (od strony Oceanu Atlantyckiego), gdzie dziś Rehoboth i część dzierżaw bastardowych, aż ostatecznie od Hotentotów Namakwa wyprosił sporą połeć terytoryum, usadowił się tam, zawładnął sąsiedniemi kraalami hotentockimi. i ogłosiwszy się panem ziem onych, wysłał powiernika swego — Dirk Verlandera — na wschód, ku pustyni Kalaharskiej, i rozkazał mu zawładnąć obszarami Buszmanów, po prawej stronie łożysk rzecznych Nosoubu i Oubu. Dirk, przybywszy z towarzyszami, po nad 26° szerokości południowej w okolice między dzisiejszemi Anoerugas i Mier, zaczął krzątać się na wzór mistrza i mocodawcy swego. Wyprosił od buszmanów duży szmat ziemi, wykopał parę studzien, powznosił namioty, zbudował nawet chałupę i osiadł na dobre z towarzyszami i towarzyszkami, których mu nie zabrakło. Zaniepokojeni Buszmani przychodzą go pytać, co czynić zamierza?

— A no — uśmiechnął się Verlander — będę wam pomagał polować na strusie, mam broń od białych, — i pokazał zęby białe, a w kącie chałupy flint kilka.

Buszmani odeszli, a Verlander wykopał nową studnię i posunął się dalej ku Mierowi.

Jan Afrikander tymczasem śle posła za posłem, nagląc pełnomocnika swego do powrotu.

Żadnej odpowiedzi. Przybywa więc sam.

— No, Dirk — powiada — dziękuję ci za to, coś uczynił: widzę, żeś dobrze postąpił, ale t r e k u j się (wynoś się) dalej, za Nosoub, tam się przyda twoje ramię.

Wiecznie błądzący na ustach Verlandera uśmiech ostygł; na twarzy odmalowało się zafrasowanie.

— Posucha teraz, bass, poczekajmy trocha. Ale Jan Afrikander nie miał sam czasu do czekania, — w obawie o tamte posiadłości, powrócił więc do domu; o Verlandere wszakże jakoś nie słychać, aby ruszał. Ruszają się natomiast inni i to znacznemi gromadami, a wszyscy garną się dokoła założyciela studni anoerugskich, który już drugą osadę wzniósł, wypędziwszy Buszmanów z obozowiska i sprowadziwszy kobiety i broń. I znów śle Afrikander posły za posłami: żadnej odpowiedzi. Nareszcie groźba i ultimatum. Verlander odpowiada, że mu tu dobrze; jeśli Afrykander chce go ztąd ruszyć, to niech przyjdzie sam. Rozpoczęła się wojna, zakończona porażką Jana i uznanie Dirka Verlandera za wodza trekskich Bohardów.

(C. d. n.).



1. Polowanie na strusio — 2. Torelli — 3. Vaalp. — 4. Hotentot.



O ocenianiu odległości.

(Przez Fr. Brandeisa — Oesterr. Jagdblatt).

Właściwe ocenianie odległości jest z wielu względów rzeczą pożyteczną, szczególniej ważną jednak jest ona dla myśliwego, któremu brak czasu do wymierzenia i obrachowania odległości między nim a nagle i niespodziewanie pokazującem mu się zwierzęciem.

W wojnie są stosowane rozmaite sposoby w tym celu, aby odległość przedmiotu, do którego się strzela z jak największą dokładnością obrachować. Przy wielkich odległościach oddaje dokładna mapa wojskowa doskonałe usługi, bo można na niej oznaczyć własne stanowisko i stanowisko przedmiotu ostrzeliwanego, poczem nie trudno przestrzeń obrachować a niekiedy nawet tylko odczytać. Gdzie mapa nie wystarcza, tam używa się rozmaitych instrumentów mierniczych, które umożliwiają dość dokładne oznaczenie odległości.

To wszystko jednak wymaga dosyć czasu i z tego powodu nie daje się zastosować do celów myśliwskich. Myśliwy musi się spuścić całkiem na własne doświadczenie — musi on w jednej chwili zadecydować, czy zwierze pokazujące mu się jest na donosiłość, czy też po za obrębem donosiłości strzału — i w pierwszym wypadku natychmiast zdecydować, jak musi do zwierzyny mierzyć, aby ją należycie trafić. Zasada „ćwicz oko i rękę“ nie jest wprawdzie rozpoczynającemu zawód myśliwemu obcą — stara się on wszelkiemi sposobami nabrać ćwiczenia w ocenieniu odległości i stara się przekonać o słuszności swojego sądu przez wymierzenie krokami, aby często po długich i mozolnych doświadczeniach, ku wielkiej irytacyi, przekonać się przy praktycznem zastosowaniu nabytych zdolności, że ogległość przecenił, lub jej nie docenił.

Przyczyn, które sprowadzają nienależyte ocenianie odległości, jest bardzo wiele.

Ciemne przedmioty z ciemnem tłem wydają się dalej położone, niż rzeczywiście są — tak samo ocenia się odległość za wysoko, jeżeli się ma słońce w oczy. Przeciciwnie jasne lub oświetlone jasno przedmioty wydają się nam bliższe. Na płaszczyznach równych, jak woda, łąki, śnieg, piasek i t. p. ocenia się odległość zawsze za krótko — podczas gdy nieregularny, nierówny teren, szczególniej przy nierównem oświetleniu jest przyczyną przeceniania odległości. Wąskie drożyny wydają się dłuższemi, szerokie ulice i drogi krótszemi, niż są w rzeczywistości — w górę ocenia się prawie zawsze za wysoko odległość, w dół za nisko. Podczas upałów, wiatru, deszczu i śniegu stają się oddalone przedmioty dla oka mniej wyraźne i dlatego wydają się więcej oddalonymi niż podczas czystego, spokojnego i zimnego powietrza,

Jeżeli podczas polowania chodzi o wzięcie na cel nieruszającej się zwierzyny, wystarcza zupełnie przypuszczalne oznaczenie odległości — nie wystarcza ono jednak przy mierzeniu do biegnącej lub lecącej zwierzyny, przyczem odpowiednie założenie jest koniecznie potrzebne, bo pocisk potrzebuje pewnego czasu do przebycia drogi między wylotem lufy a poruszającem się zwierzęciem.

Oddawna znane reguły, że n. p. na niewielkie odległości trzeba mierzyć do głowy zająca, przy większych odległościach stopniowo o pół głowy lub o całą głowę, a w końcu o podwójną długość głowy przed zająca, są bez znaczenia, jeżeli strzelający nie umie ocenić odległości.

A przecież byłoby rzeczą bardzo łatwą i prostą dać myśliwemu do ręki razem z bronią wygodny aparat do mierzenia odległości, gdyby rusznikarze chcieli zastosować się do tego i przyjąć jedną miarę i kształt n. p. dla szyny i dla wizyrów.

Ile to zmian doznała już szyna dubeltowej broni myśliwskiej! Początkowo sama wąska leżała ona głęboko między lufami, ustąpiła innym kształtom i wymiarom. Mieliśmy więc szyny wklęsłe i wypukłe — było to w przeszłości — teraźniejszość nie przynosiła nam nic nowego, stara się tylko przez powtarzanie dawnych modeli dać kupującym możność wyboru.

Gdyby przy robieniu szyny zastosowano jeden kształt, a co ważniejsze, jeden wymiar, dałoby to już aparat do mierzenia odległości, na który możnaby sie było spuścić.

Na 40 kroków odległości, zając z boku widziany wydaje się dwa razy dłuższym niż szerokość normalnej szyny, na 60 kroków półtora raza, na 80 kroków długość jego wydaje się taką, jak szerokość szyny. W podobnych odległościach głowa zająca wydaje się większą niż muszka zwykłej wielkoćci, na 100 kroków muszka zakrywa głowę co dają już granicę donośności strzału.

W stosunku do szerokości szyny zając biegnący o 100 kroków wydaje się długi na 7 do 8 mm.

Przykład ten odnosi się do szerokości szyny wizyrowej na 10 mm. podobnie mogą być szyny innej szerokości wypróbowane i używane jako miernik odległości.

W podobny sposób, jak w przykładzie uwzględniono wielkość zająca, można mierzyć odległość w stosunku do innej zwierzyny, w przypuszczeniu, że strzelający, co być powinno, zna dobrze wielkość każdego rodzaju zwierzyny.

Co jest możliwe przy dubeltówce śrótówce, da się także zastosować do sztućca.

Oddalone przedmioty wydają się oku naszemu tem mniejszymi, im dalej od oka naszego leżą. W tem jest już punkt wyjścia dla przypuszczalnego oznaczenia odległości — gdyż im mniejszą wydaje się zwierzyna, tem większą jest odległość.

Wylot dubeltówki jest od 28 do 40 mm. szeroki i takim wydaje się mierzącemu zając średniej wielkości na odległość 20 kroków; oczywiście na podwójną odległość będzie on o połowę mniejszy, co daje myśliwemu możność oznaczenia z dostateczną dokładnością odległości na 40 kroków.

W podobny sposób może być, powtarzamy, użytą szyna wizyrowa każdej broni jako miernika odległości.

Wizyr sztućca, znacznie szerszy niż szyna wizyrowa dubeltówki, możnaby bez żadnej trudności wypróbować

w zastosowaniu do grubej zwierzyny posługiwać się nim, jako miernikiem odległości. Zwierzyna gruba pokazuje się zwykle na większą odległość, ale też jest także większa. Cała szerokość wizyru lub jego połowa, widoczna część szyny wizyrowej, albo wreszcie sama muszka dają dosyć sposobności do znalezienia środków pomocniczych do oznaczenia z przeciętną dokładnością odległości. Wprawdzie to, co się wypróbowało przy jednym sztućcu nie będzie miało zastosowania wtedy, gdy się inny sztuciec weźmie do ręki, tłumaczy się to samo rozmaitością rozmiarów rozmaitych części składowych broni.

Wielkie znaczenie ma w tym wypadku odległość części służących do mierzenia od oka celującego. Wylot i muszka dubeltówki jest odległą od oka o około 90 cm. wizyr sztućca o 25 do 30 cm., muszka sztućca o 70 do 75 cm.

Im mniejszą jest odległość tych przedmiotów od oka mierzącego, tem łatwiejsze i znaczniejsze mogą być pomyłki. Dlatego też ocenianie odległości za pomocą muszki przy sztućcu będzie zawsze dokładniejsze niż ocenianie zapomocą bliżej położonego wizyra.

Te doświadczenia zasługują z całą pewnością na uwagę ze strony świata myśliwskiego, gdyż mogą się one przyczynić do wykształcenia następnych pokoleń myśliwskich i do ustawicznych ulepszeń broni myśliwskiej.

Korzyść, jaką się ma przy użyciu tych środków mierniczych do oceniania odległości stanowi to, że tu ani oświetlenie, ani wyraźniejsze lub mniej wyraźne rysowanie się przedmiotu, do którego się mierzy, nie ma żadnego znaczenia. Oko myśliwego nie może tu być w błąd wprowadzone.



Polowanie na drapieżniki na gnieździe.

W jednem z niemieckich pism łowieckich podaje A. Altnagel, następujące wskazówki co do polowania na drapieżniki na gnieździe:

Jakkolwiek tegoroczna zima dokuczała silnymi mrozami i śniegiem zdawało się, że przecie nadspodziewanie wcześnie ustąpić zmuszona będzie nadciągającej wiośnie. Już 25. lutego pokazywał termometer w południe 18 stopni ciepła, pączki drzew pęczniały silnie, w powietrzu skowronki z tryumfem i radością wyśpiewywały swe pieśni, a myśliwy robił przegląd swej broni i wyszukiwał nabojów z śrótem słonczym, bo nadchodził przecie czas, w którym pliszka i drozd zaczynają nucić swoją pieśń wieczorną, a w bagniskach zięby swym monotonnym kwakaniem dają znać myśliwemu, że nadeszła do polowania na słonki tak upragniona pora.

Wieczór taki jest nietylko odpowiedni do przygotowania się do pierwszej wyprawy myśliwskiej w roku — nadaje się on zupełnie także do zrobienia dokładnego przeglądu w rewirze myśliwskim.

W ostatnich promieniach zachodzącego słońca krąży ponad zaroślem świerkowym coraz niżej i niżej silny ptak drapieżny i osiada w końcu nad urwiskiem, zwróconem ku rzece, na starym i wysokim dębie, zabłąkanym między świerkami.

Jakkolwiek oddalenie jest za wielkie, po locie, po kształtach myśliwy pozna przecie, że to orzeł wodny a tembardziej, że właśnie na tym dębie znajduje się stare gniazdo orłów wodnych, na którym w kwietniu roku zeszłego parę tych orłów ustrzelił.

Myśliwy wie, że nowy drapieżnik tego gatunku nadżeglował, i znalazł tam odpowiadającą sobie najlepiej nową siedzibę. Przezorny myśliwy wie już obecnie, gdzie należy zwrócić czujną uwagę. Jak tylko czas parowania się zacznie, ujrzeć można drapieżnika naszego krążącego ponad starem gniazdem lub rzeką, a zresztą i nie trudno ujrzeć go na gnieździe. Najłatwiej jednak potrafi myśliwy, jeźli miał dobrego nauczyciela, który go o kształcie i sposobie lotu drapieżników objaśnił, skonstastować jego obecność i gatunek rano po polowaniu na tokach. Jest to rzecz nie łatwa i śpioch nigdy nie będzie więcej wiedział niż to, że widział krążącego w przestworzu drapieżnika — jakiego, zostanie mu zagadką. Niedbały myśliwy nie troszczy się w czasie, gdy skórka na zwierzęciu nie wiele warta, o lisa lub t. p. drapieżców. Słonkę, cietrzewia może on zużytkować, sokół, jastrząb lub kania mogą w najgorszym razie zniszczyć parę młodych, marnych zajęcy lub ptaszków, które i tak w kniei zginąć mogą. Taki powrót rankiem z polowania na tokach jest nieoceniony dla dbałego myśliwego, który później podczas długiego odpoczynku, przypadającego równocześnie z wysiadywaniem jaj przez drapieżniki, w duchu św. Huberta polowanie na gniazda szkodników urządzać zamierza.

W najważniejszych rannych godzinach ujrzy myśliwy w porze parowania się drapieżników, kanie, sokoły, orły i t. p. krążące wysoko ponad swemi gniazdami. Jeżeli już raz wie mniej więcej miejsce, nie trudno mu będzie po dokładniejszym przeszukaniu starych i wysokich drzew gniazda te odkryć i plan polowania na nie sobie ułożyć.

Jako zasadę polowania gniazdowego przyjąć należy, że powinno się ono odbyć jak najwcześniej w chwili składania jaj, a to ażeby ochronić zwierzostan, który właśnie w czasie wysiadywania jaj i karmienia młodych na wyniszczenie jest narażony.

Jeżeli przypuścić można, że staranny i dbały myśliwy zna miejsca i wie, gdzie znajdują się gniazda ptaków drapieżnych, gdy zna swój świat, można łatwo wnioskować, że potrafi odkryć i miejsca, gdzie nowe gniazda pobudowane lub też gniazda stare przez inny gatunek

drapieżników przerobione i zajęte zostały, potrafi ocenić, której zwierzynie grozi od nich niebezpieczeństwo, a przy pewnych wiadomościach ornitologicznych potrafi oznaczyć czas składania jaj i ich wylęgania a tem samem czas najodpowiedniejszy do polowania.

W interesie początkujących myśliwych pozwalamy sobie podać najwięcej charakterystyczne okazy naszych ptaków drapieżnych, które nawiasem powiedziawszy, wszystkie są ptakami gnieżdżącymi się na drzewach.

Orzeł wodny wraca do nas jako ptak wędrowny w marcu i osiada najchętniej na dawnych gniazdach na wierzchołkach wysokich dębów, położonych w bliskości rzek i stawów. Gniazda jego znajdują się jednak czasem i na wierzchołkach starych drzew szpilkowych, jeżeli z tych otwiera się szeroki widok na okolicę i wody. Gniazdo jego jest wyścielone mchem i trawą, płaskie okolone suchemi gałązkami. Orzeł wodny żywi się przeważnie większemi rybami, które kołysząc się w powietrzu upatruje, poczem na nie z całą szybkością i siłą spada. Głowa aż po kark jako też gardło i podbrzusze są białawe, grzbiet i skrzydła ciemno bronzowe, złożone loty krzyżują się na końcu ogona.

Niektórzy pisarze łowieccy utrzymują, że orzeł wodny w czasie burzy i wód mętnych także i na zwierzynę polną poluje i tę spożywa, piszący te słowa jednak, który miał sposobność specyalnie tego drapieżnika długo i starannie obserwować, nie mógł tego nigdy skonstatować, dla gospodarstwa rybnego jest jednak orzeł rzeczny bardzo szkodliwym, łapie on i wynosi swoją zdobycz na drzewa i tam je pożera.

Polowanie gniazdowe na orła wodnego jest, pominąwszy wyjątkowe szczęśliwe strzały przy odlatywaniu z gniazda, najwięcej jeszcze obiecujące, wtedy, gdy się urządza w czasie parzenia się ptaków budkę (daszek), z której, kiedy gniazdowniki z powodu braku miejsca na brzegi gniazda wyskakują i na nich siedzieć zaczynają, a samica w tym czasie podnosi się rano często na nogach, ażeby zrobić im miejsce do wyjścia, dobrym strzałem kulowym można ją położyć. Przy cierpliwości można także w ten sam sposób wystrzelać młode.

Naturalnie najkorzystniejszem jest probować ustrzelić samca jeszcze w czasie składania przez samicę jaj, z pod budki, — a to w chwili, kiedy powraca ze zdobyczą do gniazda. Piszącemu udało to się dwa razy w jednem i tem samem gnieździe, umieszczonem na dębie, stojącym nad brzegiem urwiska, do którego udało mu się przyczołgać po pod rosnącemi krzakami jałowca. Jeżeli się da przez czas pewien obserwować samca, który ponad cichemi i rybnemi wodami unosząc się w powietrzu, poluje zwykle o jednej porze i w jednym miejscu na ryby, można go zasadziwszy się w zaroślach trzcinowych dobrym strzałem położyć.

Sokół wędrowny, 40—65 cm. długi ptak drapieżny powraca do nas w marcu i kwietniu. W dziobie mocno zagiętym, długim na dwa cale, znajduje się w wierzchniej części ostry ząb, który dokładnie wchodzi w wycięcie, znajdujące się w spodniej części dzioba. Koniec skrzydeł przy zwykłem ułożeniu dochodzi do końca ogona, grzbiet i skrzydła są ciemno brązowe, prawie czarne, pierś brązowa, policzki, gardło i spód białawe, części brązowe są mniej lub więcej centkowane. Sokół wędrowny ma lot szybki — w czasie pory parzenia się, widzieć go można często krążącego w powietrzu, skąd na upatrzoną zdobycz prawie prostopadle się rzuca. Ten dla całego zwierzostanu nadzwyczaj niebezpieczny drapieżnik, przemieszkuje na szczęście przeważnie tylko okolice górskie, gdzie gnieździ się zwykle na szczytach skał niedostępnych lub też wyjątkowo na wysokich starych drzewach szpilkowych.

Kania czerwona 50—60 cm. długi, ptak drapieżny, zawdzięcza nazwę swemu rdzawo czerwonemu upierzeniu; już z dala daje się ona łatwo poznać po silnie widłowatym zakończeniu ogona. Głowa z mniejszym jak u innych drapieżników dzióbem jest białawą, nogi i pazury są żółto ubarwione. Kania czerwona, lata wysoko i gnieździ się na wysokich silnych drzewach, z których najchętniej stare świerki wybiera; gniazdo jej zrobione z chrustu, wyścielone bywa słomą i trawą.

Ponieważ czerwona kania, tak jak wogóle wszystkie drapieżniki, niebezpieczeństwa dla swoich młodych tylko z dołu się obawia, wybiera ona na gniazda, stare drzewa wysokie, nie otoczone krzakami, tak by z gniazda rozległy i nie zasłonięty mieć widok. Żywiąc się młodą zwierzyną, myszami, jaszczurkami i wężami, osiedla się przeważnie w bliskości obszernych pól. Kania łowi zdobycz krążąc w powietrzu i spada na zdobycz swoją prawie prostopadle. Polowanie na kanie najłatwiejsze z pod budki, urządzonej jeszcze w czasie parzenia się ptaków, który jeszcze lepiej kilkoma krzakami jałowca od strony gniazda zamaskować można. Stanowisko takie należy zająć jeszcze przed zachodem słońca, skradając się jak najciszej. Najlepiej należy najprzód wylatującego jeszcze przed wschodem słońca na zdobycz samca zastrzelić, samica bowiem tak czy tak wkrótce, czy to do jaj czy też do młodych powróci i przy zasiadaniu na gnieździe śrótem łatwo da się ustrzelić. Widłowaty ogon kani, który zwykle poza gniazdo wystaje, pozwala na to, żeby zbliżywszy się na strzał pod gniazdo i wycelowawszy odpowiednio do położenia ogona dobrze obliczony strzał, kulą, która przy sile dzisiejszej broni gniazdo z chrustu złożone przebije, drapieżnika, rozłożyć; strzał taki, — który piszącemu właśnie w dniu 3. kwietnia b. r. się udał, zaoszczędza myśliwemu, często wiele godzin zasadzki, główny cel, ubicie i samca jest jednak często chybiony, chyba, że ma się do dyspozycyi jak w drylingach jeszcze jedną lufę śrutową, by do powracającego samca z pod daszka strzelić. Naturalnie trzeba do tego mieć dosyć cierpliwości, bo może i parę godzin pod daszkiem na powrót ptaka wyczekiwać trzeba.

Kanie czerwone w dnie ciepłe siedzą dosyć pilnie na jajach, tak że uzbrojony w strzelbę myśliwy samicę przy wylatywaniu z gniazda łatwo zastrzelić może, jeżeli jest na tyle pewnym, by drapieżnika silnym uderzeniem nogi w pień drzewa mógł wypłoszyć. Tutaj kierunek wystającego z gniazda ogona daje dyrektywę dla przygotowania się do strzału.

Jastrząb gołębiarz, który 50—60 cm. długości dosięga, parzy się w marcu i kwietniu, właściwy czas składania jaj przypada na kwiecień. Grzbiet i ogon tego najniebezpieczniejszego dla naszej zwierzyny drapieżnika, który przez cały rok ją niszczy, — są czarno brunatne, szyja, piersi i spód brudno białe, żółtemi pręgami rysowane, dziób mocno zakrzywiony, skrzydła złożone dosięgają połowy długiego ogona, średni palec jest znacznie od innych dłuższy.

Jastrząb gołębiarz ma nadzwyczaj szybki lot, widzi znakomicie i jest bardzo płochy. Uderza on z góry w linii

skośnej lub prawie prostopadłej na swoją zdobycz, młode bażanty, kuropatwy, młode kaczki dzikie i cietrzewie, skowronki, jako też młode zające a w szczególności gołębie i młody drób padają ofiarą jego nienasyconej chciwości. Gniazda wyszukuje lub buduje sobie najchętniej na silnych starych drzewach szpilkowych, z których zdaje się najchętniej świerki wybiera, — znajdują się one jednak na dębach, topolach i jasionach.

Piszący przypomina sobie dobrze, że swego pierwszego jastrzębia gołębiarza ustrzelił z ptaszniczki w chwili, gdy z gniazda umieszczonego na jasionie zlatywał.

Gniazdo bywa płaskie lecz silnie i gęsto zbudowane, tak, że rzadko ziarna śrótu gniazda te przebić zdołają, po zdjęciu gniazd wydawało się piszącemu, że do budowania tych gniazd jastrząb używa także gliny, możliwie jednak jest, że do budowy gniazda użył jastrząb powalanych gałązek.

Kto z jakim takim widokiem na powodzenie polowania gniazdowe na tego drapieżnika urządzić zamierza, powinien jeszcze w czasie parzenia się ptaków urządzić na odległość strzału od gniazda mało wpadającą w oczy budkę urządzoną jednak tak, by linii strzału gałęzie nie zakrywały, — przyjmując bowiem za zasadę, że najprzód ustrzelonym powinien być samiec, trzeba zauważyć, że samiec powracając ze zdobyczą zatrzymuje się na brzegu gniazda tylko tak długo, dopóki samica łupu odeń nie odbierze, że przy tej sposobności ona powstaje tak, że czasem, jak się to piszącemu zdarzyło, jednym szczęśliwym strzałem obydwa ptaki naraz da się położyć. Takie szczęśliwe wypadki zdarzają się wprawdzie rzadko, należy je jednak przy przygotowaniu takiego polowania brać pod uwagę. Dublety także wydają się przy tym składzie rzeczy bardzo możliwe, choć w całej mojej długiej praktyce myśliwskiej drugi raz dubletu takiego nie zrobiłem.

Wypędzenie jastrzębia z gniazda samemu lub też przez kogo innego, udaje się bez porównania trudniej niż u kani, gdyż jęstrząb jest nadzwyczaj ostrożny i przy najmniejszym podejrzeniu z gniazda ucieka, starając się zaraz za inne drzewa i gałęzie ukryć, ponieważ jednak nie ma reguły bez wyjątków i tu się zdarza czasem, że dopiero przez silne pukanie w drzewo jastrząb z gniazda się da wypłoszyć.

Jeżeli przecie pomimo wszystkiego nie chce szczęście sprzyjać i nie uda się ustrzelić rzeczywiście bardzo płochego samca na gnieździe, trzeba przed wyjściem jeszcze młodych z gniazda, z zasadzki w budce rano ustrzelić samicę, poczem przez chłopców, zaopatrzonych, w żelazka do wspinania, kazać zdjąć gniazdo, spłoszony samiec unikać będzie tego miejsca i uszczęśliwi swoją obecnością inny rewir.

Dla uzupełnienia dodaję, choć to do tematu naszego nie należy, że jastrząb gołębiarz łapie się znakomicie na kosze z gołębiami. Bażantarnie można jedynie tylko w ten sposób od tych drapieżników choć w części zabezpieczyć.

Myszołów włochaty. *(Der Mausebussard)*, jest także jednym z nawięcej płochliwych ptaków. Jest on wielkości mniej więcej jastrzębia gołębiarza, zjawia się u nas w kwietniu, grzbiet jego jest ciemno brązowy, gardło białawe czarnawo prążkowane, szyja ciemno szara, podbrzusze wygląda z daleka białawo w rzeczywistości jednak jest białawo żółto prążkowane, ogon jest trochę zaokrąglony w zabarwieniu zachodzą jednak różne waryanty.

Myszołów wyszukuje najchętniej stare gniazda na dębach, bukach lub świerkach i tylko w koniecznych razach buduje nowe gniazda z chrustu i wyściela je pierzem i trawą.

Myszołów przesiaduje najczęściej w polu na kamieniach, palach i gołych pniach, (możliwość złapania go w żelaza) i czycha stamtąd na młode zające, jakoteż wszelką młodą zwierzynę drobną, która ucieczką lub lotem przed nim uchronić się jeszcze nie może, tylko przysiada i stara się ukryć przed jego wzrokiem.

Myszołów jest bardzo przywiązany do swego gniazda i polowanie nań z wyżej opisanej budki jest bardzo łatwe. Po ubiciu samca, samica wróci bezwątpienia w krótkim czasie do gniazda i da się w chwili siadania nań łatwo położyć.

Krogulec jest niewielkim, 30—40 cm. długości liczącym, do rodziny jastrzębi należącym i podobnie jak one upierzonym drapieżnikiem. Jest on zresztą tak powszechnie znanym, że od dokładniejszego opisy wstrzymać się możemy. Pomimo swej małości jest on dla naszej zwierzyny drobnej niebezpiecznym nadzwyczaj tępicielem, z szybkością strzały pędzi on za każdym mniejszym ptaszkiem, na młode zające lub młodą zwierzynę pierzatą rzuca się w ukośnym kierunku na ziemię, żaden gołąb przy gołębniku, żadne kurcze nie jest przed nim pewne, nawet w oczach ludzi pędzi za swoją zdobyczą z taką zażartością, że nieraz sam przy tem się potłucze i pokaleczy. Piszącemu wpadł krogulec przez otwarte okno do pokoju tak, że szyby w kawałki rozleciały, ptak zaś na miejscu zginął.

Polowanie gniazdowe na krogulca jest i wtenczas trudne, jeźli się to stosunkowo małe gniazdo na jakimś świerku odkryć uda. Piorunem zrywa się on z gniazda, przy najlżejszem podejrzeniu, a przed powrotem na gniazda rekognoskuje on dokładnie całą okolicę, czyniąc szerokie kręgi. Największa część naszych leśników nie uważa za warte zachodu wyszukiwania gniazd krogulczych i temu to w przeważnej części zawdzięczyć należy, że tak często krążącego krogulca ujrzeć można i że tak obiecujące stadka naszych kuropatw przez zimę najczęściej o połowę topnieją.

Tem, co tu chcieliśmy powiedzieć, wyczerpaliśmy mniej więcej nasz temat zupełnie i pozostaje nam tylko zrekapitulować całą rzecz:

1) Każde polowanie gniazdowe powinno jeszcze w marcu poprzedza staranne wyszukanie gniazd i diagnoza rodzaju drapieżnika;

2) Najodpowiedniejszem do polowania gniazdowego jest urządzenie jak najwcześniej dobrze zakrytej budki;

3) Z parki drapieżników należy możliwie najwcześniej najprzód samca ubić, samica zwykle i tak wróci do gniazda;

4) Gniazdo należy zostawić, gdyż bardzo możliwe, że w roku przyszłym osiądzie w nim inny drapieżnik. Kto w ten sposób postępuje a potrafi zaopatrzyć się w dobrą dozę cierpliwości, gdy udaje się do budki, osiągnie bezwątpienia najlepsze rezultaty.



„ROK MYŚLIWCA“

Wincentego Pola z rysunkami Juliusza Kossaka.

Sierpień to miesiąc żniw. Im bardziej dochodzi zboże, tem więcej krząta się ptactwa i drobnych zwierzątek około żrałych kłosów. Jakoż w tym czasie porastają sporo wywiedzione gniazda ptaków; stare, wypierzywszy się, porosły nanowo i są tłuszczem oblane, a wszelkie zwierzątko żyjące ziarnem dobrze ogładzone i świecące, krząta się około zbierania zapasów na jesień i zimę.

Żniwa nadają zupełnie inny ruch ptactwu, które aż dotąd falą zbóż zakryte, swobodnie sobie bujało. Skoro tylko zadzwoni sierp w łanach, skoro tylko ozwą się głosy i śpiewy żniwiarzy, pierzcha od tej obławy wszelka płocha ptaszka, podrywa się z pod nogi, albo ciekąc cichaczem, uchodzi ku przeciwnej stronie, lękając się nietyle jeszcze samych żniwiarzy, ile raczej gołej ścierni i drapieżnych ptaków, które się w ślad żniwiarzy ważą nad złocistą ściernią.

Najpierwsze wynoszą się stad stróżliwie dropie w otwarte obłoki i jałowe pagórki, a przepiórki, ciekąc i wodząc częstokroć jeszcze ostatnie gniazda, uchodzą zwolna tylko przed żeńcami. Zrazu znajdzie się jeszcze przytułek i pod garściami, i pod snopem, i pod półkopkiem, i nocą nawabiają kwoki drobne pisklęta. Ale kiedy już dograbek i obżynek przejdzie całe łany, a wóz pawężny zwiezie dostatek do stodoły; kiedy pierwszy chłód schodzącego lata pociągnie po ścierniu, wówczas rozproszyło się już całe ptactwo aż dotąd w zbożach żyjące i poczyna się zbijać w gromadę, ściąga się około gumien, przysiada po drogach po których zwieziono zboża, lub szuka miedz, krzakami porosłych zboczy, nieskoszonych jeszcze owsów, niewyżętej jeszcze hreczki, łanów kukurudzy i ziemniaków.

Z końcem żniwa spadają wędrowne s i e w k i, przypadając stadem na pokosach, po drogach i tokach, a nocą zbijają się całe stada dzikich gęsi i kaczek, szukając żeru na pokosach owsa i hreczyska. Dniem zaś zbierają się z okolicznych gniazd bociany i krążąc wysoko wielkiemi kołami, gotują się już do drogi za morze.

To śmiałe szybowanie bocianów, które się w locie swoim coraz wyżej wznosza, w wielkie zebrane gromady, ma coś dziwnie uroczystego w sobie. Często jeszcze spadają na łąki, ale trzymają się już od swych gniazd zdaleka, dumając i radząc o przyszłej żegludze, aż sąd odbywszy, w końcu przed drogą rozszarpią jednego z pomiędzy siebie w mgnieniu oka, a potem z wielkim krzykiem wzbijając się w górę, zawiązują się w klucze i ciągną do cieplic.

Wiele ubywa już wdzięku widokom sielskiej natury, gdy bociany odlecą, gdy klekotu ich nie słychać z nad gniazda, a okazałego żeglarza powietrznego zabraknie dla oka. Wieniec ciernisty bocianiego gniazda biorą w posiadanie wróble na zimę i ścielą sobie mieszkalne gniazdeczka, a smutny po bagnie długo jeszcze chodzi jedynak bocian, pozostały od pary z zabitym, aż go co zje lub porwie, lub aż w końcu zlitują się nad nim chłopaki i zabiorą banitę do dworskiej kuchni na zimę.

Wiele także ubywa już wdzięku, gdy wieczorne kluczenie żurawi od wierzchowiny stawów lub od łąk leśnych nie dolatuje ucha, gdy zabraknie podniosłego głosu ich kruczenia i wesołych tańców wieczornych.

W gromady i stada zbite ptactwo płoche trzyma się bardzo trwożliwie i przeciąga samotne pustkowia, przypadając tylko chwilowo na obrosłych przyczółkach, na samotnych czubałkach pagórków, lub miedzach podszytych jagodami, jałowcem, głogiem i tarniną, gdzie czuje się bezpieczne od drapieżnego ptactwa.

Baczne oko dośledzi w tym czasie i niezwykły ruch drobiu i domowego ptactwa, i niezwykły ruch ptactwa wodnego. Skoro tylko półkopki rzędami staną po poletkach i łanach, wyrusza w pole cały drób, który się aż dotąd trzymał obejścia albo błonia wioski i od wiosny nie przeszedł ani płotu, ani kołowrotu. Kury idą w tym jedynym czasie daleko w pola na pokłosie; gęsi wiejskie zbierają się w wielkie stada, a stróżliwe gąsiory obmyślają jakby tu przejść kołowrot, który teraz niepilnowany, stoi już otworem.

Statecznie ciągną te stada, póki nie dojdą do kołowrotu; lecz przebywszy kołowrot, podnoszą się z krzykiem niekiedy w powietrze i spadają na ściernie pomiędzy półkopki, a nim się pokłosie skończy, porastają młode gęsi tak sporo, że młodych od starych odróżnić nie można. Nawet kaczki domowe cieką rowami i bruzdami w pola, a choć nie pogardzają ziarnem, chwytają raczej polne koniki, gąsienice i ścierniowe pająki, które w tym czasie odnowiwszy gniazdo, roją się w słonecznej ścierni. Na kapuśnikach opierają się ostatecznie kaczki, gdzie żer gąsienic je zwabił. Najwcześniej wracają kury do domu, po nich kaczki, a po bydle dopiero wracają gęsi białemi, wielkiemi stadami i rozchodzą się po ulicach wioski, odwiedziwszy wprzód jeszcze stawy lub jeziora.

Kiedy w polach kopno, to i wesoło. Okolice od wiosny niewidziane, odkrywają się oko po wyżęciu zboża; złota ścierń połyskuje w rosie i cały krajobraz się zmienia, bo bydło ciągnie przez ściernie, a konie pasą się na skoszonej łące, której nie puszczono w otawę.

Z każdym dniem więcej swobody dla ruchów ptactwa i bydła, które bez szkody ze ściernia na łąkę, z łąki na ściernie przechodzi. Przez całą wiosnę i całe lato po miedzach i krzakach, po wiklinach i lasach, po wiejskiem błoniu lub jałowym ugorze pasiony statek zbiera się teraz w otwartych polach, a o chłodnym poranku lub wieczorze wznoszą się dymy z polnego ogniska, przy którem się kupią, grzeją i pieką ziemniaki pastuszki.

Już też pod koniec sierpnia poczyna się siew bartłomiejski i w rąbki składa pług swieżą skibę. Za pługiem żywi się pies wsiowy i spadają pierwsze wrony, mało

przez lato widziane, zbierając to co się wykluwa z ziemi po odłożonej skibie. Psy też wiejskie poczynają się oglądać w tym czasie, bo i dla nich już przednówek skończony, kiedy nowy chleb w chacie, a wrony nabierają zuchwałości, przekomorzając się z psami za oraczem, że się nie boją potem psa na obejściu, gdy je jesień spędza do wioski i przejeżdżają się nawet wierzchem na świni.

Taki sam ruch poczyna ożywiać i ptactwo wodne, gęsi i kaczki dzikie, które aż dotąd lęgły się po niedostępnych kaczyńcach i przerosłych splawach. Porzucają pielesz swoję i przenoszą srę na wielkie stawy i jeziora, spadając na otwarte halawy, nieobrosłe trzciną i szuwarem. Kaczki, które się po drzewach zapadłych i nieprzystępnych łąkach gnieździły, szukają teraz wielkich i otwartych zwierciadeł wód, trzymając się zawsze na halawach, opodal brzegów i grobel. Zrazu nie łączą się te stada z sobą, lecz każde gniazdo wodzą z osobna kaczory i gąsiory, aż nareszcie silniejsze przemogą i ład uczynią w tych stadach.

Gwar tego ptactwa jest od świtu wielki i zdaleka słyszany. Niespokojnie zrywa się tu i owdzie stadko i wraca do miejsca gniazdowiska swego, albo szuka w nowej i nieznanej sobie okolicy żeru samotnych oparzelisk, lub stepowych i leśnych jeziorek. Stąd krzyżują się tu te stada w równych kierunkach w ciągu dnia całego, niepokoją się, nie mogą się zgodzić z sobą na otwartych wodach, wzbijają się wysoko i rozpatrują się w całej okolicy, strzegąc się strzału.

Wrzawa ptactwa wodnego o świcie na otwartych wodach (które nieraz dosłownie biorąc zaczernia całą powierzchnię wód), jest głosem natury na sierpień. Towarzyszy mu zawsze jeszcze hukanie bąka wodnego i przenikliwy śpiew i świegot wodnych drozdów, które teraz obsiadłszy trzciny całemi gniazdami, straszliwie hałaszą. Nad błoniami i łozami ważą się szpaki w coraz większych chmurach i w tym miesiącu jeszcze podziwiać trzeba i zwroty tej chmury, i szybowania powietrzne, których jak na komendę kształty, wielkość i kierunek zmienia, jak gdyby czarodziejską różczką kierowana.

Wszelka ptaszka czuje się arcyswobodną w tym czasie; po odnowieniu gniazda, po wyżywieniu młodych upierzona na nowo i oblana, używa swobody ruchów i ćwiczy w locie swe siły, zbijając się w wielkie gromady.

Tę samę swobodę widać i w ruchach bydła po żniwie. Polowanie jest zawsze i w tym miesiącu na łodzi i po błotach na wodną i błotną ptaszkę, której małe i wielkie ciągi obudzają czujność myśliwego; w żadnym czasie nie jest też ta zwierzyna lepszą i więcej oblaną. Na łodzi o świcie przebija się myśliwy przez oczerety ku odkrytym halawom, Czem dzień gorętszy, tem lepiej dosiada krzyk i dubelt na błocie, zwłaszcza po deszczu, albo na przyparek, a wieczorem ustawiają się myśliwi wzdłuż grobli, albo po brzegach stawów i jeziór, gdzie kaczki stadami i dosyć nisko ponad ziemią na nocne ciągną żerowiska. Polowanie tego rodzaju jest bardzo wdzięczne. Do zorzy wieczornej padają strzały i kilku myśliwych pali nieraz do tego samego stada. Do północy prawie słychać nieustanne wachlowanie skrzydeł w powietrzu. Robią się też w tym czasie zasadzki przy pólkopkach na dzikie gęsi, a na wczesnych hreczyskach na kaczki, gdzie ptaki te nocą chmurami spadają.

Dziki trzymają się gąszczów, ale w lasach skrajnych, które o uprawne łany graniczą. W czasie gorącym szukają w leśnych błotach barłogu. Wodzące samury chodzą jeszcze z warchlakami z osobna. Jałowe łoszki, podświnki i wycinki trzymają się hurtu. Stary odyniec chodzi jeszcze z osobna, ale wpada już niekiedy na chwilę do stada.

Jelenie i sarny trzymają się także w skrajnych przylaskach, albo w polnych gajach, wychodząc w zboża, szczególniej gdy im owad leśny dokuczy. W gorącym czasie szukają łanie i sarny żywych samotnych źródeł i zbierają się przy nich stadkiem, szczególniej o ranku i wieczorze; w czasie zaś skwarnego południa układają się w cieniu na ziemi, szukając chłodu, i drzemią spokojnie obok cieląt, w miejscach tych głównie gdzie dwa zioła rosną: jeleni język i turzyca, bo z nich najmłodsze odgryzają listki.

Zające robią sobie w tym czasie nory na północnej stronie w oraninie, szukając chłodu, albo zakopują się w świeżej skibie głęboko i mają młode drugiego miotu.

Cietrzew z samicą i młodemi trzyma się w wielkiem ukryciu i bardzo cicho w gęstwinach. Skowronki poczynają się pierzyć. Kuropatwy trzymają się z młodemi w jarych posiewach późniejszych i szukają źródeł w czasie upałów po obrosłych zboczach.

Jarząbki trzymają się wielkich, chłodnych gąszczów i obsiadują najniższe gałęzie drzew całemi gniazdami, strzegąc się drapieżnego ptactwa.

Po świętym Bartlomieju poczynają się walne łowy na jelenie i kozły, które w tym czasie są najlepsze. Rogacze idą tu jeszcze na strzał. Rozpoczyna się także polowanie na borsuka, który jest najlepszy w tym czasie, tak pod względem skóry, jak sadła; ztąd też poczyna się tu polowanie na niego z jamnikami na jamach, na zasadzkę nocną przy utkanych jamach i na żelaza. Poczyna się także polowanie z siatkami dziennemi i nocnemi na kuropatwy, skowronki i przepiórki, które się przez zimę chowa, i z połami na drobną ptaszkę.

Na zasadzkę poluje się w grochach i wykach na na dzikie gołębie i grzywacze. Po połowie sierpnia zaczyna się też polowanie na młode zające, czyli tak zwane marczaki, a na błotach zawsze jeszcze rozjadem i na sidła.

Młode drapieżne zwierzęta pozbywają się kłaczystej wełny z końcem tego miesiąca, a pokrywają się gładkim włosem i sierzćią. Młode lisy i wilczki biorą się teraz na chów. Gdy się wilki w tym czasie jeszcze wabią i nie rozeszły się, najłatwiej wybić całe gniazdo, nim się jeszcze szkodnicy rozejdą, obstawiając wilcze debry sieciami. Równo ze skończonem żniwem rozpoczyną się polowanie z charty, a między matkami na rogacze; więc w ciągu całego sierpnia trzeba lepiej pamiętać o psiarni. Ogarom i niedźwiedzim kundysom dodaje się do osypki nawaru, a chartom baranich nóżek, aby były w sile. Od początku też sierpnia puszcza się na tropy ogary, dla których pierwsze pole idzie po porannej rosie w krzakach i małych kniejach, aby się układały do nawoływania myśliwych, rozumiały głos szczwaczy i głos trąbki. Charty powinny przynajmniej w tym miesiącu przebywać w stajni myśliwskich koni i być upięte pod żłobem tego konia, przy którym chodzić będą.

Rankami i wieczorami wypada je w pola wyprowadzać, przy końcu na smyczy, aby się uczyły chodzić

sfornie, aby się nie ciągnęły i nie lazły pod konia. Przeprowadzając charty, trzeba je oswajać z trzaskiem harapów, obudzać ich czujność, uczyć haseł i poszczuć czasami w polach domowego kota. Czas też wielki pomyśleć o wszelkich przyborach myśliwskich, o odebraniu strzelb od ruśnikarza, o poostrzeniu żelaz, o naprawie myśliwych siodeł i rzędów, o odnowieniu troków, smycz, sfór i drążków, a w końcu o opatrzeniu sieci.



KORESPONDENCYE.

Sokołów, 23. lipca.

Powódź z 11-ego lipca — największa jaką tutejsza ludność pamięta, zrobiła niesłychane szkody w ziemiopłodach, komunikacyach i budowlach wodnych a również zniszczyła zwierzostan prawie doszczętnie. Sokołów położony między dwoma rzekami górskiemi: Świcą i Sukielem, a których wody wskutek szalonego wezbrania połączyły się z sobą, został zalanym pasmem wody na dwa i pół kilometra szerokim, a w samym miasteczku płynęła woda na gościńcu wartkim prądem na metr wysokim.

Ten świetny rezultat mamy do zawdzięczenia troskliwej i długoletniej energicznej akcyi: Centralnego Rządu, Koła Polskiego i Rządów krajowych, tak politycznego jak też i autonomicznego, około regulacyi górskich potoków i rzek w naszym kraju.

Ponieważ tak u mnie jak i w sąsiednich majątkach położonych nad rzekami, jest w każdej gminie katastralnej, paręset lub przynajmniej kilkadziesiąt morgów łoziny rosnącej nad rzekami, zwierzyna więc a to tak sarny, jak zające, bażanty i kuropatwy, w czasie lata, gnieżdżą się i najchętniej przebywają w tych łozach, mając dobre schronienie i najlepszą karmę. Powódź postępuje niesłychanie szybko, zwierzyna ze strachu traci przytomność i zamiast się ratować w kierunku gór i lasów, lata jak szalona w różnych kierunkach aż póki woda ją nie uniesie.

Widziałem dwa zające unoszone wodą na kopicach siana, z których jeden porwany z kopicy pod mostem przez wodę, bardzo dzielnie mimo szalonego prądu, dopłynął do sztachet okalających mój ogród, z których tylko czubki sterczały z nad wody i zaczął się łapkami chwytać tych czubków, lecz prąd wody utrudniał mu dostanie się na drugą stronę, gdzie już nie daleko widział sterczący ponad wodą pagórek. Chłopak od stajni widząc to ze strony ogrodu, dobiegł do miejsca brodząc w wodzie po ramiona, i zając najspokojniej dał mu się wziąść i zanieść do miejsca niedotkniętego powodzią.

Ludzie moi ratując śluzę, którą swoją drogą później woda zabrała, zobaczyli jak wydra już przy bardzo wezbranej wodzie i przy bardzo silnym prądzie, płynąc niosła w pysku małe i składała je w przypadkowo wysokiej kępie łoziny sterczącej ponad wodą, wracała trzy razy i tym sposobem z kądeś z daleka czworo małych w kępie umieściła. Na drugi dzień jak trochę woda opadła, znaleźliśmy tam czworo, z których jedno było już nie żywe, musiało się utopić nim matka z gniazda je zabrała. Wydrzątka karmię mlekiem z pypki, chowają się dobrze są bardzo grzeczne, milutkie i przyjacielskie.

Lecz najciekawszym jest przykład bajecznego poświęcenia się matki. Chowam bażanty. Te głównie gnieżdżą się i przebywają na łące łoziną podszytej obok lasu, na której znajdują się rzadko pojedyńcze drzewa, położenie tej łączki jest jednak takie, że spadek jest ku lasowi. Jak woda zaczęła przebywać musiała przedewszystkiem zalać dół i przerwać komunikacyę z lasem wyżej położonym. Mój pobereżnik znalazł na tej łące pod dębem nieżywą bażancicę i jedno maleństwo żywe, parę dni może temu wyklute z jaja, widocznie z drugiego spóźnionego lęgu, pierwszy musiał być przez jakiegoś szkodnika zniszczonym. Oprócz tego było w miejscu pod drzewem dużo łajna ptasiego, widocznie całe stadko tam jakiś czas przebywało. Oglądałem nieboszczkę bardzo starannie i najmniejszego śladu skaleczenia nie znalazłem. Nie mogę sobie tego inaczej wytłumaczyć, jak tylko tem, że bażancica przy przybywaniu wody chroniła maleństwa i może, jak się widzi nieraz u kur domowych, gdy woda ciągle przybierała, rozścieliła skrzydła aby maleństwa mogły wyleść na nią i tym sposobem znaleść się ponad poziomem wody. Tymczasem przyszła silniejsza fala i odrazu odurzyła i zalała matkę i dzieci a jedno maleństwo musiało się uratować na jakiejś przez wodę niesionej gałązce lub kupce siana, która się o dęba sparla. Jeżeli tak było, w co przynajmniej ja nie wątpię, to przykład takiej matki, która mogła zlecić i siąść na gałęzi dęba aby się uratować — wolała jednak zginąć ratując do ostatniej chwili swoje dziatki, nawet między ludźmi zasługiwałby na spiżowy pomnik.

Ośm lat pracy około podniesienia zwierzostanu w tak trudnych jak u nas warunkach zmarnowanych, trzeba strzelbę powiesić na kołku i zaczynać znów od początku, — może w tym czasie zdobędą nas Chińczycy, a chyba ich administracya może być już tylko zbawienniejsza.

Chłopi przepowiadają jeszcze drugą taką powódź w tym roku a ponieważ nasz chłop jest w regule lepszym prorokiem nawet od Falba, więc mamy szanse topić się raz jeszcze.

Stanisław Matkowski.



Kronika.

Wystawa rybacka w Warszawie. Warszawski oddział cesarsko rosyjskiego Towarzystwa hodowli ryb i rybołówstwa urządza w Warszawie we wrześniu 1900 r. pierwszą wystawę rybacką.

Do ubiegania się o nagrody nadają się jedynie przedmioty pochodzące z państwa rosyjskiego, przedmioty zagraniczne mogą być wystawione po za konkursem.

Wystawa obejmować będzie następujące grupy: I. Gospodarstwo stawowe. Hodowla karpia i innych gatunków karpiowatych. Wychów ryb łososiowatych w stawach. Stuczna hodowla ryb, Urządzenie wylęgarni. Sztuczna hodowla w domu. Hodowla innych gatunków ryb, stanowiących dodatkowe zarybienie stawów. Hodowla szczupaka, saudacza i węgorza. Budowa stawów. Groble, upusty, kanały. Urządzenie sadzawek wycierowych, przesadków, stawów odrostowych, zimochowów i sadzów. Melioracye stawów. Roboty i budowle hydrotechniczne, zabezpieczające gospodarstwa stawowe od uszkodzeń przez wody burzowe. Ocena terenów i wód pod względem ich przydatności dla urządzeń rybackich. Narzędzia i przyrządy używane przy gospodarstwie stawowem, przy sztucznej hodowli ryb, przy robotach hydrotechnicznych i przy transporcie ryb żywych. Aklimatyzacya obcych gatunków ryb stawowych. Żywienie ryb w stawach. Pokarm naturalny i żywienie z ręki. Kultura pożytecznych roślin w stawach. Poprawa stawów w celu podniesienia ich żyzności. Racyonalna rachunkowość w gospodarstwie stawowem.

II. Gospodarstwo rybne w wodach dzikich. Rozmnażanie ryb w jeziorach i rzekach. Hodowla ryb karpiowatych. Sztuczne wylęganie gatunków zimowych i odchowanie zarybków. Hodowla węgorzy. Melioracye brzegów. Urządzenie sztucznych tarlisk. Ochrona ryb na wodach otwartych. Przepławki, okresy i rewiry ochronne. Prawodawstwo rybackie ochronne. Aklimatyzacya obcych gatunków ryb, oraz pożytecznych zwierząt i roślin wodnych. Narzędzia i przyrządy służące do połowu ryb na wodach otwartych. Fabrykacya sieci, Konserwowanie narzędzi. Przyrządy pomocnicze; łodzie, jazy zagrody, i t. p. Zanieczyszczanie wód publicznych. Środki dezinfekcyi odpływów miejskich i fabrycznych. Przepisy prawne.

III. Szkodniki w hodowli ryb. Szkodniki świata zwierzęcego. Rośliny szkodliwe. Sposoby tępienia szkodliwych zwierząt i roślin. Szkodliwe narzędzia służące do połowu ryb.

IV. Sport rybacki. Sport wędkowy. Wędki i ich części składowę. Przynęty naturalne i sztuczne. Akcesorya pomocnicze. Wszelki inny sport rybołowczy. Akwarya domowe. Hodowla ryb egzotycznych.

V. Przetwory rybne. Ryby świeże, mrożone i solone, suszone na ogniu i na powietrzu, ryby wędzone i marynowane. Fabrykacya konserw rybnych i kawioru. Surogaty używaoe przy konserwowaniu ryb. Sposób opakowania, przesyłki i przechowywania konserw. Wszelkie wyroby z odpadków rybich. Wyrób tranów, tłuszczów, klejów, mąki rybiej i guana.

VI. Hodowla raków. Rozmnażanie raków. Urządzenie wylęgarni raczanej. Żywienie raków. Opakowanie, przesyłka i przechowywanie raków.

VII. Dział naukowy. Wydawnictwa literackie z dziedziny rybactwa. Kolekcye botaniczne i zoologiczne. Tablice graniczne. Mapy ichtyologiczne. Dane statystyczne, dotyczące gospodarstw rybnych. Patologia ryb. Metody badania chorób rybich, zapobiegania im i usuwania takowych. Badania nad fauną i florą wodną. Badania planktonu. Akwarya naukowe.

VIII. Wszelkie przedmioty z hodowlą ryb i rybołowstwem związek mające. Prawa wodne i brzegowe. Prawidłowa sprzedaż ryb. Kontrakty dotyczące sprzedaży. Sztuka w rybactwie Wszelkie inne przedmioty powyższemi grupami nie objęte.

Wystawa ta, której zakres jest tak obszerny, powinna być bardzo ciekawą i może i powinna zainteresować każdego producenta ryb i miłośnika rybactwa.

Proch bezdymny. C. k. Ministerstwo wojny przesyła nam następujący komunikat; Dochodzenia, poczynione z powodu tak często dających się słyszeć utyskiwań na jakość krajowego prochu bezdymnego dowiodły, że skarg tych powodem są prawie wyłącznie: gorszy gatunek materyału używanego na łuski nabojowe, za słabe kapsle wybuchowe, nienależyte robienie nabojów i t. p. Stąd to pochodzi, że proch ten, pomimo znakomitych swoich właściwości uznanych przez zawodowych znawców, nawet zagranicznych, nie tylko nie rozpowszechnia się, tak, jakby to należało, ale nawet dyskredytuje się — wielu bowiem myśliwych przypisuje niepowodzenia, jakich przy strzelaniu doświadczają, samemu materyałowi, zamiast złemu ich przyrządzeniu i złym łuskom. Ażeby opinii myśliwych nadać właściwy kierunnk, postanowił Zarząd monopolu prochowego sprzedawać proch bezdymny w nabojach myśliwskich. Naboje te sporządza odpowiednio urządzony zakład w jednej z c. k. fabryk amunicyi pod jak najdokładniejszą kontrolą. Naboje te można nabywać w oryginalnych paczkach pod urzędową banderollą. Na razie sporządza się naboje te z prochu Nr. 1 kalibru 12 i 16-go, i to ze śrótem lub bez śrótu — normalne, silniejsze i słabsze — przyczem używa się łusek nabojowych, normalnych, silniejszych i słabszych. Sprzedaje się naboje te przez licencyonowanych sprzedawców prochu, u których można przeglądnąć także taryfę. Normalnymi nabojami można bez obawy strzelać z każdej strzelby, używanej dotychczas do prochu czarnego, jeżeli broń znajduje się w porządku — naboje silniejsze są tylko dla takiej broni. którą ostrzelaną i wybróbowaną była prochem bezdymnym, Naboje normalne zrobione są w łuskach szkarłatnego koloru, silniejsze w łuskach jasnoniebieskiego koloru. Naboje produkowane przez skarb, noszą specyalny napis, a na spodzie stalowej kapsli napis „Wöllersdorf". Wszystkie gatunki nabojów są zapakowane po 10 sztuk razem — sprzedaż odbywa się tylko takimi urzędownie zamkniętymi pakietami. Wielkie kartony mają każdy po pięć sztuk małych kartonów. Na opakowaniu oprócz kalibru nabojów i grubości łuski (schwach, normal, stark), jest wydrukowana waga ładunku prochu, przy całych nabojach także numer śrótu.

Opieka nad karmiącemi sukami. Podobnie, jak przy opiekowaniu się szczennemi sukami należy pamiętać, że wszystko co się dla nich robi dobrego, albo co się wobec nich zaniedbuje, odbija się dobrze lub źle na szczeniętach, tak samo powinno się postępować z karmiącemi sukami. Pierwszym warunkiem jest czystość. Chociaż niepotrzeba koniecznie aż do czasu, w którym szczenięta przejrzą, odmieniać codzień posłania, bo suka utrzymuje czystość przez ustawiczne lizanie szczeniąt, jednakże zmiana ściółki jest bardzo pożądaną. Zwykle oszczeniła się suka w skrzyni i w tej skrzyni muszą szczenięta spędzić kilka pierwszych tygodni swojego życia. Spód skrzyni posypuje się na 20 cm. wysoko wiórami albo lepiej jeszcze torfem zproszkowanym i na to daje się dobrą podściółkę ze słomy. Żeby uchronić psiaki od uduszenia w czasie snu, przybija się w skrzynce na wysokości 10—15 cm. listwę, dzielącą skrzynię na dwie nierówne części — szczenięta mogą się więc przecisnąć popod listwę do drugiego oddziału skrzyni, gdyby im uduszenie groziło. Więcej niż cztery, a najwyżej pięć szczeniąt nie powinno się zostawiać suce, bo będzie miała za mało pokarmu, aby wszystkie szczenięta należycie wyżywić — zresztą sama ucierpi na tem za wiele. Zbyteczne szczenięta powinno się się na drugi dzień po urodzeniu zabijać, a mianowicie w ten sposób, że łamie się im krzyże na jakimś, twardym kończastym przedmiocie. Należy je w tym celu objąć ręką niżej grzbietu i głową uderzyć silnie o ten twardy przedmiot. Że powinno się dziać w nieobecności matki, nie potrzeba tego mówić. Tak matkę, jak i szczenięta powinno się jak najczęściej czyścić z pcheł — najlepiej robić to z pomocą zacherlina, którym należy psięta posypać a potem głaskając je pod włos, wydobywać ogłuszone, ale żywe jeszcze pchły. Główną uwagę zwracać należy na pożywienie suki, które powinno być obfite i na to, żeby miała dostateczny ruch. Suki powinno się dobrze karmić. Mianowicie rano powinny one dostawać letniego mleka i trochę surowego, pośrótowanego mięsa końskiego, w południe ryż z wielką ilością gotowanego mięsa, albo chleba razowego w rosole, z tłuszczem i mięsem, wieczorem suchary psie Fattingera z Wiednia i to albo suche albo rozmoczone. Niektóre suki wolą te suchary suche, inne wolą rozmoczone — trzeba ich gust obserwować i zastosować się pod tym względem do niego.

Nie należy jednak sucharów tych rozgotowywać na zupę, bo ta nie będzie służyć suce — należy je tylko zwilżyć ciepłym rosołem i podawać suce dopiero wtedy, gdy rosół ten wsiąkł w suchary. Szczennym i karmiącym sukom dobrze dodawać trochę mięsa do tych sucharów — co w innych porach nie jest potrzebne, bo suchary zawierają już wszystko to, co do wyżywienia psa w normalnych warunkach jest potrzebne, Świeżą wodę musi mieć suka bez ustanku — wodę powinno się więc ciągle odmieniać. Ruszać powinna się także karmiąca suka dosyć — należy ją więc trzy razy dziennie po pół godziny, a nawet po godzinie przeprowadzać na przechadzkę. Z początku nie chce suka opuszczać szczeniąt, trzeba ją więc brać na smycz i wyprowadzać czy chce czy nie chce. Ruch ten nietylko dla niej dla zdrowia jest potrzebny, ale także konieczny dla wytwarzania się dobrego pokarmu. Jak jest potrzebnym ruch, dowodzą tego wypadki zupełnej utraty całego miotu, który zniszczał z powodu bezkrwistości. Tylko przy należytym ruchu będzie suka przy apetycie i potrafi szczenięta należycie wyżywić. Podczas karmienia należy co trzy lub cztery dni przemywać sutki letnią wodą z lysolem, którego tyle należy dodawać, żeby się woda lekko zabarwiła. Jeżeli się tego zaniedbuje, porobią się na sutkach powłoki z nieczystości, co sprowadza zapalenie sutek i często śmierć całego miotu. Gdy już szczenięta dojdą wieku pięciu do siedmiu tygodni, powinny same umieć jeść, żeby oszczędzać suki. Później, gdy już mało ma pokarmu, obmywa się sutki codziennie wodą letnią zmięszaną z octem, żeby pokarm prędzej straciła i wróciła do należytej kondycyi.

Statystyka ubitej zwierzyny w cesarskim rewirze Gödöllö. Według zestawień łowczego Huberta Pattery ubito w 20 latach t. j. od r. 1879 do włącznie 1898 następującą ilość zwierzyny; Pożytecznej: jeleni 446, kanieli 1, dzików 434, sarn 1020, zajęcy 45294, królików 7908, dzikich amerykańskich indyków 153, cietrzewi 4, łabedzia 1, perlic 3, dzikiego pawia 1, bażantów królewskich 3, bażantów zwykłych 29096, kuropatw 25936, jarząbków 4, słonek 1396, gęsi dzikich 8, kaczek 1161, przepiórek 910, gołębi i innych 1215, razem 119011 sztuk. Szkodliwej; wydr 42, lisów 3213, borsuków 353, żbików 200, kun 51, tchórzów 1221, łasic 3968, jeżów 1976, różnych innych szkodników czworonożnych 9835, orłów rozmaitego gatunku 124, sępa 1, jastrzębi, gołębiarzy 1953, kani i myszołowów 2727, mniejszych sokołów 4681 puhaczy 12, mniejszych sów 2618, kruków 6, srok i wron 26217, srokaczy i innych mniejszych drapieżników lotnych 3738, razem szkodliwej 62·927 sztuk — ogółem w 20 latach 181.938 sztuk.

Broń małokalibrowa. W komisyi budżetowej niemieckiego parlamentu, dawał minister wojny von Gossler wyjaśnienie w sprawie broni małokalibrowej. Oświadczył on, że uważa za rzecz niemożliwą dalsze zmiejszenie kalibru. W wojnie południowo-afrykańskiej poczyniono spostrzeżenia, że rany które zadaje boerski karabin małokalibrowy w mięśniach, są bardzo lekkie i goją się szybko. (Jakie to nieszczęście, szczególniej ta druga część i ze stanowiska pruskiego!) Broń kalibru za małego nie czyni nieprzyjaciela niezdatnym do boju, na dłuższy czas. Bronią Boerów był 8° milimetrowe karabiny mauserowskie, z fabryki Loewego i służyły dobrze, ale pokazało się, że kaliber jest stanowczo za mały. Także w wojnie hiszpańsko-amerykańkiej rany były „za mało szkodliwe“ z powodu zanadto małego kalibru broni hiszpańskiej.



Tych pp. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładek, prosimy usilnie o ich nadesłanie i o zaoszczędzenie sekretaryatowi Towarzystwa pracy, jaką stanowi urgowanie zalegających z opłatami pp. Członków każdego z osobna. Czas na to stracony, mógłby być użyty w interesie Towarzystwa. *Wydział.*



Omyłki druku w N-rze 14 „*Łowca*“ w art. „Na łowach w Transwaalu...“:

				wydrukowano	ma być:
Str. 203	szpalta 1	wiersz	6	— gazetach	— gazelach
„ 204	„ 1	„	26	— landyści	— landrości
„ 204	„ 1	„	43	— 10	— 6
„ 204	„ 1	„	45	— 6	— 10
„ 204	„ 2	„	5	— 100	— 10
„ 204	„ 2	„	27	— Hunickie	— Hamickie
„ 204	„ 2	„	37	— trzebiczy	— treków
„ 205	„ 1	„	13	— maszynisty	— murzyńską
„ 205	„ 2	„	2	— Meotanin	— Mootowie
„ 205	„ 2	„	9	— naszemu	— rzecznemu
„ 205	„ 2	„	11	— basalanie	— basutowie



OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.